

PISEMKO KUŹNICZANEK

MIESIĘCZNIK

Rok VII. Nr. 10 Prenumerata roczna 4 50 Październik 1927.

Rozmyślanie.

Siejcie sobie ku sprawiedliwości, a żnijcie do ust miłosierdzia. odnówcie sobie nowinę, a czas szukać Pana, gdy przyjdzie który Was będzie uczył sprawiedliwości.

(Ozee roz. X. w. 12).

Co mamy obsiewać? i gdzie siał mamy? Mamy obsiewać pole życia naszego i zakres działalności naszej.

Co mamy siał? uczynki sprawiedliwości. Co to jest sprawiedliwość? kogo Pismo św. nazywa sprawiedliwym? Abrahama dla jego wiary, Zacharjasza i Elżbietę, bo chodzili według przykazań Pańskich bez przygany.

A więc sprawiedliwość polega na wykonywaniu obowiązków stanu, przyjmowaniu w duchu wiary tego co nas spotyka, na pełnieniu uczynków miłości bliźniego i wykonywaniu aktów cnót zależnie od następujących się ku temu sposobności jako to: jałmużny, umartwienia, cierpliwości pokory i t. p. Żać będziemy w miarę naszego miłosierdzia. Chr. Pan zapowiedział, że na sądzie ostatecznym z tej cnoty przede wszystkim zażąda rachunku: „Jaką miarką mierzycie, taką Wam będzie odmierzone“. „Nie sądzicie nie a będziecie sądzeni“.

W St. Zakonie widzimy wspaniałe przykłady miłosierdzia: Józefa względem braci, Dawida względem Saula. Obsiewajmy zatem pole naszego życia uczynkami miłosierdzia i miłości bliźniego. W życiu wspólnem w rodzinie następują się do tego liczne sposobności. Jedną z najczęstszych jest znoszenie cudzych wad. Św. Franciszek Salezy kładł ogromny nacisk na tę cnotę. „le support du prochain“ znoszenie wad bliźniego. Mówił, że gdyby w jakim zgromadzeniu nie było osoby trudnej do zniesienia we wspólnem pożyciu, to trzeba by się o taką osobę postarać i do siebie sprowadzić.



Co. 2280/1927/10

Tak jak są choroby i kalectwa fizyczne przed któremi cofać się nie należy, chociaż budzą wstręt i odrazę, ale je znosić i leczyć trzeba, tak samo rzecz się ma z kalectwami i chorobami duchowymi i moralnymi. Są wady wynikające z temperamentu, które nie dadzą się poprawić, grzechu one nie stanowią, a jednak są trudne do zniesienia zwłaszcza dla osób przeciwnego usposobienia. Darowanie uraz, pnszczanie w niepamięć doznanych przykrości, nie wydawanie zbyt surowych sądów, potępienie złych uczynków ale nie osób; na tem polega naśladowanie miłosierdzia bożego, które lituje się nad nami, przebacza nam i pomaga w każdej potrzebie. I my nieśmy pomoc bliźniemu w czem tylko możemy.

„Czas jest szukać Pana aż przyjedzie“ mówi prorok. W St. Zakonie mieli Go ludzie szukać wiarą, nadzieją i czekać aż przyjdzie. Dla nas ten czas już przyszedł. Chr. Pan nauczył doskonalszej sprawiedliwości niż starozakonna, nauczył nietylko darowywać urazy, pomagać, ale dusze t. j. życie swoje dawać za braci.

Widzimy cudowne przykłady miłości bliźniego w życiu świętych, w pracach misjonarzy.

„Orzecie sobie nowinę“. Nowina to ziemia wykarczowana ale jeszcze nie uprawiona, trzeba ją przygotować do uprawy.

Taką nowiną jeszcze nie uprawioną są nasze władze, zdolności leżące odłogiem, niewyzyskane. Trzeba wykorzeńić co złe, obsiać tem co dobre. Tu zastanówmy się, przejdźmy myślą nasze zajęcia, obowiązki, czy niema rzeczy zaniedbanych? Jak stoimy pod względem potrójnej pracy? Jeśli pracujemy fizycznie czy łączymy z tem pracę duchowną? czy wzbogacamy nasz umysł wiedzą? to co czytamy czy przynosi nam pożytek, czy czytamy według z góry obmyślonego planu?

(Z notatek zakładowych).

Z życia p. Jenerałowej. (mężatka) 26.

Uważałam że chcąc w świecie stosunki mieć, trzeba się o nie starać, a te starania wcale mi nie przypadały.

Co więcej, znajdowałam że fiakrem jeździć z Michałem na koźle nie uprzyjemnia bynajmniej korzyści mających na mnie spłynąć z stosun-

ków światowych. — Że przyjmować zaproszenia na wystawne obiady, wieczory koncerta, a nie odpłacać się za nie w podobny sposób, niebardzo mi się uśmiechało.

Nie miałam pojęcia o wartości pieniędzy. Mój ojciec przeznaczył mi dochód roczny 15.000 zł. pol. i powiedział mi, że to jest bardzo mało, ale że więcej dać nie może i że mam być bardzo oszczędną, a żeby nie stać się ciężarem dla męża.

Mój mąż powiedział, że nie przypuszczał ażebym była taką bogatą i dodał śmiejąc się, że będzie zaco hulać.

Ja nie wiedziałam wcale co dla mnie przykrzejszem, czy to, żeby od rodziców pieniądze brać, czy też to, żeby wobec mego męża ich nie mieć. Nie wiedziałam też wcale do czego taki dochód daje prawo i jakie nakłada obowiązki.

Stanęło na tem, że połowa tych pieniędzy zostanie się przy mnie na moje osobiste wydatki, a połowa przy moim mężu, na utrzymanie gospodarstwa.

Że trzeba być oszczędną, o tem byłam przekonaną, że nie trzeba sobie folgować i żadnych zbytków nie pozwalać, o tem byłam przekonaną w zasadzie, ale od zasady do zastosowanie droga daleka i u mnie zamieszanie w głowie było straszne. N. p. znajdowałam, że można i bardzo dobrze mieć skromne mieszkanie, ale że wówczas nie trzeba do niego sprowadzać ludzi przywykłych do mieszkania zbytko-wnie. Że dobrze mieć skromny stół; ale że w takim razie nie trzeba przyjmować zaprosin na wykwiłne obiady; a jeśli się je przyjmuje, to trzeba takiemiż się odpłacić. Że nie potrzeba jeździć z wizytami, ale jeżeli się jeździ, to trzeba mieć porządny powóz, konie, liberję i nie jeździć brudnemi najętymi dryndami.

Mój mąż zaś bardzo się z góry patrzył, a raczej zupełnie pomi-jał tego rodzaju względy. Mawiał, że w świecie nie trzeba bywać dla rozrywki, ale dla interesu; nie na to ażeby jeść, pić, tańcować, ale na to, żeby spotykać ludzi i utrzymywać z nimi stosunki. Często powtarzał słowa nie wiem czy nie Pana de Montalembert: „Wymazali was z mapy, nie dajcie się wymazać z historii, ani z salonów, zmuszajcie ludzi, ażeby o was pamiętali i z wami się rachowali“.

Mój mąż lubił bywać w towarzystwie; ale niezależnie od tego, uważał to sobie za obowiązek. Spotykał wieczorami w świecie, mnóstwo ludzi, których inaczej nie zawsze spotkać można, bo zajęci, bo wychodzą i zastać ich nie można. Mnóstwo interesów w ten sposób załatwiał i sprawiedliwie mówił, że jak do kogo idzie na obiad, to nie dla obiadu i dla nakrycia, lub mebli, ale dla rozmowy i że się spodziewa, że ci, których zaprasza, w tem samym są usposobieniu względem niego. Mówił czasami: „a cóż komu do tego, jakim ja powozem przyjeżdżam, byłem przyjechał“.

Skądinąd mawiał mi czasem: „ja nie chcę żebyś między ludźmi przechodziła niepostrzeżenie; chcę żeby ludzie, jak ich Tobie przedstawiam, ciebie poznali i zapamiętali; nie chcę żony pensjonarki, nieśmiałej, ale takiej, któraby miejsce swoje w świecie jak należy zajmowała. Ci co z Tobą rozmawiają, muszą coś z rozmowy zapamiętać, wiedzieć co o czem myślisz i z Tobą się rachować.

Dość że wszystko szło na wywrót moim skłonnościom. Słusznie był powiedział Pan Zygmunt, że trzeba mnie wychować.

Edukacja szła jak z kamienia; słuchałam jakby w szkole co drudzy mówią, ażeby w danej chwili te same banalności zgrabnie umieścić; ale nigdy jakoś w porę trafić nie mogłam, ani mogłam zgadnąć co ludzie myślą, ażeby to właśnie powiedzieć, i zawsze kończyło się na tem, że milczę i że słowa powiedzieć nie umiem.

Nareszcie, razu jednego szczęśliwym trafem, ktoś mi przyszedł w pomoc najniespodziewaniej. Zaprowadził mnie mój mąż z wizytą do Pani d' Arnaud, która we wtorki u siebie przyjmowała. Była tam jakaś Pani de Roussel, żona kapitana marynarki; rozmowa toczyła się nie pamiętam o kim i o czem; dość że czyjś dowcip wychwalano, a Pani de R. na to: „il est si facile d' avoir de l' esprit, quand on dit ce que l' on pense. (Łatwo mieć dowcip jeśli się mówi to co się myśli).

Dzisiaj nie jestem przekonaną, ażeby to właśnie powiedzenie było bardzo dowcipnem, ale wówczas rzuciło nieocenione światło do mego zaciemnionego mózgu. Wychodząc stamtąd powiedziałam memu mężowi, że gdyby można mówić to co się myśli, tobym nigdy nie była w kłopotcie, ale że mnie ani na myśl nie przychodzi ludziom obcym

mówić tego co ja myślę, tylko chcę mówić przyjęte między ludźmi zdania, żeby się od nich nie różnić i „krakać jak i oni“. Mój mąż mi powiedział, że to właśnie we mnie uważa i że to mu takie przykre.

Potrochu rozwiązał mi się język, nigdy bardzo śmiałą nie byłam, nigdy się bardzo głośno nie odzywałam, ale jednak tyle, że memu mężowi wielką przyjemność sprawiałam. Sama nie wiem jak, boć nic tak dziwnego nie mówiłam, ale często się zdarzało, że jak kto był chory, zmartwiony, posępny, to mi dawano zlecenie rozerwania i rozweselenia go, co się zwykle bardzo udawało. A nikt mi tego tyle nie okazał co X, że Adam, Xżna Adamowa, X -na Württemberska. Wcale nawet nie zgaduję jakim sposobem drugich rozweselałam, bo sama wcale wesołą nie byłam. Może w dwa miesiące po naszym zamieszkaniu na rue St Honoré, przyszedł do mnie któregoś dnia popołudniu Witold Czartoryski mówiąc: „moi rodzice chcieliby pójść dziś wieczór“, „aux Français, boją się spóźnić, a że wy tu bliżej mieszkacie, pytają czy mogą przyjść do was na wczesny obiad“. — Odpowiedziałam, że oczywiście i Witold odbiegł z tą odpowiedzią.

Ależ ta rzecz oczywista, nie była tak łatwą do wykonania bez kucharki i z Michałem za kredencera. Mego męża nie było w domu. Co począć? Kogo się poradzić? — Poco ja to na siebie wzięłam? A nuż mój mąż będzie niekontent i znajdzie, że nie powinnam się tak rozrządzać bez jego wiedzy? Od zamęścia niezmiernie byłam uważna, ażeby w niczem się jemu nie narazić. A chociaż nigdy nie byłam spostrzegła w nim żadnego śladu gniewu, złego humoru, niecierpliwości, najmocniej byłam przekonana, że stąd iż się stał mężem, „zameężnej kobiety“ to te zalety muszą się w nim koniecznie obudzić i że prędzej lub później, niezbędnie dadzą mi się we znaki, a pragnęłam usilnie, własną nieogłędnością nie przyspieszać tej doli. Myślałam sobie: „Il n' y a que le premier pas qui cout“. Jak raz dam okazję do tej pierwszej niecierpliwości, to wszystko przepadnie i wejdzie to w zwykły tryb życia, a ja się chyba zabiję. Co począć, co począć?

Przypomniałam sobie, że jest w „Palais Royal“ jakiś sławny Chereť, który podejmuje się obiady dostarczać z całą służbą, nakryciem i. t. p. Pobiegnęłam tam i obstałowałam obiad na 7 osób, na szóstą z sre-

brem, bielizną, winem, czarną kawą, służbą za 120 fr. jeżeli mnie pamięć nie myli. Obiad bardzo skromny, jakby swój zwykły, ale wyśmienity; poleciłam, ażeby srebro i bielizna nie były znaczone i nie zdradzały że nie nasze.

Nie wiem dokąd musiałam potem pójść, a jak się wróciłam do domu, stół w jadalnym pokoju był nakryty, i kamerdyner od Cheveta układał na bufecie swoje porządki. Spieszyłam jak mogłam i wchodząc pytam Michała czy Pan w domu. „Dopiero co przyszedł i pytał dla kogo to nakrycie, ale ja nie wiedziałam“.

Idę do salonu i spotykam mego męża z bardzo rozweseloną twarzą, pyta mnie, co to za festyn. skąd się wziął i dla kogo. — A jak mu wszystko opowiedziałam, odrzekł: „ale jakaś ty mądra, żeś sobie tak odrazu poradziła“.

Po chwili księżstwo przyszli, znaleźli, że obiad wyśmienicie podany, że wino wyborne, że wszystko acz proste, ale po ostatniej modzie; że mamy doskonałą kucharkę i że ja jestem pierwszorzędną panią domu. Sława ta mi się została na później i nieraz przydatną była.

Mój mąż nie mógł się nacieszyć, że pierwszy raz Xięcia gości u siebie i obiad zszedł bardzo wesoło.

Po pierwszy raz przypuściłam że ja, „zamężna kobieta“ potrafię coś mądrego własnem natchnieniem uczynić i że mężczyzna, może być mężem, a nie koniecznie Demoklesowym mieczem nad głową żony swojej.

Kilka razy potem powtórzyliśmy takie zaprosiny, a moja sława wyśmienitej pani domu ustalała się coraz bardziej, jeśli nie koniecznie tanim kosztem, to małym kłopotem.

Z pobytu w jednym z czeskich sanatorjów.

Zeszłego roku zagnały mnie losy w Sudety Czeskie do małej uroczej miejscowości granicznej nad rzeką Orlicą. Byłam tam w ludowem sanatorjum dla piersiowo chorych, w „Albertinum“.

Po załatwieniu formalności kancelaryjnych, wzięto mnie do kwartantany, gdzie musiałam przebywać około 10 dni. Tu podlegałam szczególnemu badaniu lekarskiemu, fotografii Roentgena, wszelkim anali-

zom, oraz obserwacji pielęgniarek; po kąpielii zostałam przeniesiona na odpowiedni oddział.

Sanatorjum to składało się z szeregu małych domków. rozrzuconych daleko od siebie, na kilku zalesionych pagórkach. — Chore były odpowiednio rozsegregowane, według stanu ciężkości choroby, oraz zaraźliwości, a nie według sfer towarzyskich, lub poziomu inteligencji, bo o to nikt nie pytał.

Mnie dano do pokoju, w którym spały cztery osoby. Urządzenie pokoju było bardzo higieniczne: okna stale otwarte (na oknach kwitnące kwiaty); prócz łóżek, bardzo wysokich (aby umożliwić dokładne wymiatanie „Elektroluxem“) i krzesłek, oryginalnie otwieranych, tworzących na noc stoliki nocne z szufladką, innych sprzętów w pokoju nie było.

W korytarzu stały duże szafy na ubranie, oraz szafki z wentylatorami na obuwiu, którego trzeba było mieć przynajmniej trzy pary: jedno specjalne tylko do pokoju sypialnego (nakładało się je przed samemi drzwiami), drugie do umywalni, trzecie na werandę i przedchadzki. W ciągu dnia sypialny pokój był zamknięty na klucz; wieczorem wolno było wejść po umyciu się i już w nocnej koszuli i szlafroku.

Jadalnia mieściła się w osobnym budynku, na najwyższym piętrze — i wszystkie chore musiały 5 razy dziennie iść powoli do niej. Tylko gorączkujące powyżej 37,6, lub miewające częste krwotoki były od tego zwolnione. Najnowszą zasadą jest powoli przyzwyczajać chorych do pracy, dlatego to i nam urządzano raz na tydzień, obowiązujące wszystkich, wykłady gospodarstwa domowego, naukę zabawkarstwa, kapelusznictwa oraz przeróżnych pięknych robót ręcznych.

Jednocześnie lekarze pracowali kulturalnie nad uświadomieniem nas o gruźlicy, jej udzieleniu się i o sposobach uchronienia naszego otoczenia, a szczególnie dzieci przed zarażeniem się w obcowaniu ze starszemi. Owe wykłady prowadzone były w sposób bardzo popularyzacyjny a przy tem ilustrowane przezroczkami.

Największe pawilony miały swoje reprezentantki, t. zw. „dowiernice“, czyli osoby zaufane — niedługo po przyjeździe pacjentki obrały mnie na taką „dowiernicę“. Obowiązki moje były następujące: co-

dzienne załatwianie poczty, zapisywanie sprawunków, zbieranie zażaleń i codzienne wieczorne sprawozdanie z naszego trybu życia, oraz jakości jedzenia, czuwanie nad milczeniem i porządkiem na werandzie. Za znalezione pod którym leżakiem papierek, lub inny śmieć, ściągano karę pieniężną. Raz na tydzień panie mężatki zbierały się na naradę i układały menu objadów i kolacji na cały tydzień; ja to wszystko zapisywałam i *wraz z niemi* szłam na salę, gdzie czekała pani dyrektorka, gospodyni, spiżarnia i lekarz dyżurny (Dyrektor z żoną nie mieszkali w sanatorium, przyjeżdżali tylko 2 razy na tydzień). Pani dyrektorka najpierw przeglądała mój zeszyt ze sprawozdaniami, kontrolowała i usprawiedliwiała odpowiednio zarzuty, potem ja odczytywałam głośno menu. Niektóre posiłki zatwierdzano, inne skreślano, bądź jako zbyt drogie, bądź jako mało posilne. (Opłata dzienna za leczenie z utrzymaniem wynosiła tylko 25. K. C.) co jest w Czechach bardzo tanio. Były przytem spory o nowalje i kaszę jaglaną, którą dostawaliśmy aż 3 razy na tydzień w kolosalnych ilościach, ale cóż robić? Kaszę jaglaną, surowe kozie mleko i chrzan dawano nam bardzo często, jako pokarmy, zawierające dużo soli, potrzebnych do zwapnienia chorych płuc.

Odwiedzać pacjentki wolno było tylko 2 razy na tydzień, pomiędzy 1-ą a 3-cią godziną. I choćby rodzony ojciec, czy mąż przyjechał z Pragi i spóźnił się trochę, odwiedziny już były wzbronione. Regulaminu nic nie mogło zmienić, a i tak po każdej wizycie temperatura bywała podniesiona.

Ogród mieliśmy ogromny i wolno nam było przebywać w nim ile nam się podobało, za to do miasta nie wolno było wychodzić. W ślicznie utrzymanym parku rosło mnóstwo ładnych okazów krzewów i kwiatów. Pełno tablic z uwagami: „Nad połamanym krzewem i kwiatem drży ten, kto ma wiele miłości dla ludzi“. Kochaj tę czeresnię, bo pod nią siadywał Vrchlicky“ (poeta czeski).

W lesie blisko kolnij dla dzieci była męka Pańska, a wokół niej ławki i tablica do pisania — tu na świeżem powietrzu odbywały się codziennie lekcje dla dzieci i miło było posłuchać codziennej ich modlitwy, śpiewów, nauki, patrzeć na ich ćwiczenia gimnastyczne; miały one sztuczną sadzawkę, cembrowaną dla nauki pływania, miały też piłkę siatkową, jako najzdrowsze sporty dla osób o wątlých płucach.

Zabawnie mieliśmy urządzoną kąpiel. Był to ogromny pokój o 5-ciu, czy 6-ciu oknach, 2 wanny i wielki prysznic, a środkiem wzdłuż pokoju długi stół z miednicami, gdzie jednocześnie myło się 12 osób. We wtorki było mycie się w wodzie z solą, w piątki w wodzie z szarem mydłem; szorowała nas pielęgniarka twardą bardzo szczotką aż do silnego zaczerwienienia skóry na plecach, a potem zaraz spuszczała na nas zimny prysznic. Po osuszeniu się ręcznikiem, ważono nas w tymże pokoju, poczem wolno było włożyć koszulę i ubrać się obok w garderobie.

Każda willa miała swój pokój wspólny, t. zw. „dzienny pobyt“, gdzieśmy się po kolacji zbierały na gry towarzyskie, czytanie pism, lub grę na fortepianie. Zabawami kierowała dowiecznica wraz z pielęgniarką.

O ile było parę inteligentniejszych osób, urządzaliśmy dla wszystkich raz na tydzień rodzaj odczytów na różne tematy: np. wrażenia z podróży zagranicą, praca społeczna w Czechach, prawa kobiety, różne wiadomości z ostatnich wydarzeń czy to w kraju czy zagranicą, nowo wydane książki, czytano niektóre ustępy z nich i t. p.

Czas nam uciekał prędko, nie myślałyśmy o chorobie, bo po takim odczycie sporo było tematów do rozstrząsania.

Dla nie zamożnych, które nigdy już nie będą zdrowe i zdolne do pracy normalnej, jest t. zw. „ozdrownia“, w której mogą pozostać bezpłatnie w ilości około 20 osób. Pół dnia pracują tam dla sanatorium, pół dnia leczą się. Praca ich jest lekka, np. kancelaryjna, naprawa bielizny, przygotowanie jarzyn i t. p.

Dla mnie, jako wychowanej w Polsce, pobyt w owym sanatorium był szkołą życia; w Polsce, nie spotykałam w ten sposób przeprowadzonej pracy społecznej, bo też i nie mamy takiego ustroju demokratycznego, jaki mają Czesi. Czesi mają kulturę pierwotną, ale skutek tego bardzo silną — tworzą dopiero pierwsze szeregi inteligencji; roadowej, inteligencji dotychczas nie mieli zupełnie, szlachta ich wyginęła pod Białą Górą, a inteligencja ich była napływowa, niemiecka, lub też tworzyli ją Czesi ziemczeni — prawdziwi Czesi są głównie mieszkańcami wsi, a poczucie narodowości zbudziło się u nich niedawno, bo dopiero przed paru dziesiątkami lat.

Libusza.

Wycieczka do Krakowa i na Targi Wschodnie

Opracowana przez uczennice.

W dniu 31 sierpnia wyruszyliśmy z Zakopanego w liczbie 20 pod opieką p. Justyny Zaleskiej, p. Łyskowskiej i p. A. Strawińskiej.

Początek naszej podróży nie był przyjemny i zapowiadał się niezbyt obiecująco. Deszcz lał jak z cebra, a wozy któremi jęchałyśmy na dworzec skakały po kamieniach strasznie nas podrzucając. Byłyśmy w wielkiej obawie, aby ten deszcz nie stał się czasem nieodstępny towarzyszem całej naszej podróży.

Na szczęście w miarę jak oddalałyśmy się od Zakopanego, deszcz zaczął ustawać, a na miejsce chmur i mgieł pokazywał się czysty błękit nieba. Śród ciągłych śpiewów w wesołej i przyjemnej rozmowy dojechałyśmy do Krakowa.

Za przybyciem udałyśmy się zaraz do klasztoru S. S. Miłosierdzia przy ulicy Krowoderskiej, gdzie przygotowano dla nas duży, czysty pokój, z którego byłyśmy zupełnie zadowolone.

Po chwili wypoczynku przebrałyśmy się w mundurki i udały na miasto dla zwiedzenia kościołów. Po wczesnej kolacji poszłyśmy na spoczynek, ale ponieważ milczenie nas w czasie wycieczki nie obowiązywało, więc korzystając ze swobody gwarzyłyśmy długo i wesoło, a choć światła pogaszono, jeszcześmy hałasowały, tak że trzeba nas było kilkakrotnie upominać.

Nazajutrz po mszy św. i śniadaniu zwiedzałyśmy muzea i w dalszym ciągu kościoły, byłyśmy na Skałce, a popołudniu pojechałyśmy zwiedzić Wieliczkę.

Wieliczka przedstawiła nam się jako wspaniałe podziemne zamczysko, zamieszkałe przez czarnoksiężników. Niemiłego doznaje się wrażenia, gdy się zjeżdża windą, która pędzi jak strzała w dół. Ze wstydem przyznać należy, że kilka z nas wydało okrzyk przerażenia, za co zostały strofowane przez p. Zaleską.

Z tego cośmy widziały na większą uwagę zasługuje kaplica św. Antoniego, wykuta w 1700 roku przez jednego z tamtejszych robotników, niejakiego Markowskiego samouka, także kaplica św. Kingi cała z soli kryształowej stoi już 23 lat. Ołtarz przy oświetleniu elektrycz-

nem wygląda jak alabastrowy. Msza św. odprawia się tam tylko na B. Narodzenie. Zwiedzałyśmy komorę Staszica, komorę Hallera i wiele innych. Najpiękniejszą komorę ma Piłsudzki i jest też jezioro poświęcone jego pamięci, gdy je oświetlą wygląda jak zaczarowane.

Podobno kiedyś 7-miu żołnierzy pruskich chciało się przedostać na drugą stronę i wszyscy potonęli, bo byli pijani, a głębokość jeziora wynosi 7 metr. Pokazywano nam olbrzymią salę balową, w której na zamówienie zwiedzających grywa orkiestra złożona z miejscowych robotników. Żałowałyśmy, że nas ta przyjemność nie spotkała.

W Wieliczce widzi się przeważnie budowę drewnianą, rzadziej murowaną lub żelazną. Drzewo nasycy się z czasem solą i pod jej wpływem prawie kamienieje, gdy tymczasem żelazo słoną wilgocią trawione kruszy się i rozpada.

Robotników pracujących w kopalniach Wieliczki jest 1760. Się pociągową stanowią konie, które są dobrze odżywiane i nie przeciążone pracą, dlatego trzymają się znakomicie i lata całe pełnią swą służbę podziemną. Zwiedzających nie prowadzą nigdy tam, gdzie pracują robotnicy, można zwiedzać tylko trzy piętra: jedno na 60 mtr., drugie na 90 mtr. a trzecie na 160 metr. głębokości położone.

Opuściwszy podziemia Wieliczki zakończyliśmy dzień w teatrze na przedstawieniu *Balladyny* Słowackiego.

Następnego dnia spędziłyśmy cały ranek na oglądaniu Wawelu którego odnowieniem zajmuje się D. Szyszko Bohusz.

Z głównej sieni weszłyśmy przez piękną renesansową bramę na dziedziniec zamkowy otoczony krużgankami, których ozdobą są wsparte kolumny oraz freski na ścianach. Robota posuwa się powoli, bo działanie chemiczne mające na celu oczyszczenie ścian wymaga dużo czasu. Zwiedzałyśmy następnie pierwsze i drugie piętro, pierwsze jest jeszcze w ruinie, na drugim zwiedzałyśmy jedną salę zupełnie odnowioną, dwie drugie na ukończeniu.

Po zajęciu Krakowa przez Austrię 1846 r. zamieniono Wawel na koszary wojskowe, stąd zniszczenie zamku, jednak Polacy służący w wojsku austriackim, chronili co się dało i tak dzięki jednemu z kapitanów polskich, ocalały piękne schody z ciemnego marmuru, bo je nakryto

deskami. Dopiero na skutek deputacji obywatelskiej wysłanej do cesarza Franciszka Józefa w 1905 r. nastąpiło opróżnienie zamku z wojska.

Opowiedziano nam, że za dawnych lat stał w tem samym miejscu zamek, który zgorzał na początku XIV w. i że Kazimierz Wielki rozpoczął budowę królewskiego gmachu ponad kościółkiem św. Idziego. Władysław Jagiełło wznosił mury obronne dokoła zamku oraz tak zwaną „kurzą stopką“ W XVI w. kilka pożarów nawiedziło zamek, odrestaurował go Zygmund Stary, ale rabunki Szwedów znów go zrujnowały i wreszcie zużyty został na koszary wojskowe.

Z zamku przeszliśmy do katedry i grobów królewskich. Katedrę zdobią trzy wieże: zegarowa zaopatrzona zegarem; wikaryjska w której się mieszczą dzwony, zwane srebrnymi i wreszcie od północy wieża zwana Zygmuntofska, w niej na trzecim piętrze mieści się dzwon Zygmuntofski odlany 1520 r. z polecenia Zygmunta I ofiarowany katedrze wawelskiej. Dzwon ten jest olbrzymiej wielkości gdyż ma średnicy 2.7 mtr., rozbrzmiewa tylko w najważniejsze uroczystości kościelne lub narodowe. Mniejsze dzwony dają się słyszeć w mniej ważne uroczystości.

Wchodząc do katedry widzi się po obu stronach drzwi wiszące na łańcuchach kości przedpotopowych zwierząt. Katedra dzieli się na trzy nawy, w pośrodku nawy głównej mieści się ołtarz, nad którym znajdują się w srebrnej trumnie zwłoki św. Stanisława. Boki trumny zdobi 10 płaskorzeźb, są to sceny z życia tego świętego. W bocznych nawach mieszczą się sarkofagi. Na szczególną uwagę zasługuje sarkofag królowej Jadwigi wykuty z białego marmuru, a także sarkofag Kazimierza Wielkiego. Zwraca również uwagę przepiękny wizerunek P. Jezusa na krzyżu, na srebrnej blasze, zasłonięty czarną gazą; legenda mówi, że królowa Jadwiga modliła się przed nim.

Intencja: Modlitwa za zmarłych zwłaszcza tych co ześli z świata bez sakramentów św.

Praktyka. Dobre uczynki ofiarować za dusze zmarłych.

Wydawca: Zakład Kórnicki — Szkoła domowej pracy Kobiet w Zakopanem

Redaktorka Aniela Strawińska — Zakopane, Kuźnice.